№ 273. Warszawa. Piątek 3/15 Października Rok 1858.

Opłata prenumeracyjna na Kronikę Wiadomości Krajowych i Zagranicznych wynosi: a) w Warszawie rocznie: rs. 7. kop. 20 (złp. 48); b) kwartalnie rs. 1 kopiejek 80 (złp. 12); miesięcznie kop. 60 (złp. 4.)

KRONIKA
WIADOMOŚCI KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH.

Na prowincji w Królestwie z pocztą rocznie rs. 12 (złp 80); kwartalnie rs. 3 (złp. 20). W Cesarstwie taż sama opłata co na prowincji w Królestwie, z dodaniem rs. 4 rocznie lub 1 kwartalnie za koperty.

Jutro Ś. Florentyna Biskupa.
Wschód słońca o g. 6 m. 27.—Zach. o g. 5 m. 3.

Biuro Redakcji przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu Nro 391. naprzeciw Saskiego placu.

Dziś rano stopni ciepła 8, wczoraj w poł. ciep. 11.
Wysokość wody na Wiśle stóp 1 cali 6.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

— Zapowiedziany dawniéj pamiętnik F. S. Dmuchowskiego, wyszedł przed niedawnym czasem z druku p. t. *Wspomnienia od r. 1806—1830.* Jakkolwiek wiele zebrał tu autor ciekawych i pamiętnych wspomnień z owéj epoki i z życia swego, zawsze jednak spodziewaliśmy się więcéj tu znaleść wiadomości dotyczących owéj pamiętnéj epoki w literaturze, w któréj jak wiemy, autor brał tak czynny udział.

— W. A. Maciejowski przygotował już do druku trzeci tom swego dzieła: *Historja prawodawstw słowiańskich.*

Korrespondencja Kroniki.

Żytomierz d. 20 września (2 października). Panna Klotylda Bogdanowiczówna.—Teatr.—Artykuł p. Stanisława Okraszewskiego p. t. „Żytomierz i jego teatr“ jest temu lat 30, a teraz.

W tych czasach panna Klotylda Bogdanowiczówa uszczęśliwiła nasze miasto swoją bytnością. Dawała dwa koncerta, ostatni d. 17go września. O znakomitym jéj talencie, już wszechstronnie w stolicach ocenionym, rozprawiać nie będziemy, a powiemy tylko iż odśpiewaniem mazurów Chopina wywołała najwyższy zapał.

Teatr nasz, po trzy miesięcznych ferjach otworzył d. 7go września swoje przedstawienia drugą częścią Krakowiaków i Górali, następnie odegrano Dożywocie, w którém debiutował nowo angażowany z Warszawy artysta p. Damse, o którym zatém, jako o niepoznanym jeszcze dokładnie, zatrzymujemy sąd na późniéj, ostatnim razem dano Aktorkę Wenecką. Nowości w téj dziedzinie zasługujących na podanie do druku niema żadnych oprócz artykułu pana Stanisława Okraszewskiego, ogłoszonego w NN. 225, 226 i 243 Gazety Warszawskiéj pod tytułem: „Żytomierz i jego teatr, jest temu lat 30, a teraz; że zaś artykuł ten wywołał powszechne nieukontentowanie i nas bezpośrednio dotyczy, musimy więc roztrząsnąć go szczegółowie zbliska. Ogólny pogląd na ten artykuł wykazuje, iż jest to zjawisko piśmienne tak rażące swoim kolorytem, swoją krzyczącą przesadą i excentrycznością, iż wszystkie wybuchy wezuwiuszowe bledną przed nim, a mimowoli przypominają się »rozbujałe flukta« biskupa Krasickiego. Że tak jest, wypiszmy pierwsze lepsze, jakie oko napotka frazesa... np. o gubernatorze Sinielnikowie, który rzeczywiście jest restauratorem Żytomierza, pod względem zaprowadzenia porządku i zregulowania ulic i placów, pan Okraszewski tak się na serio wyraża: „Zda mi się w nim (w Sienielnikowie) widzieć Nerona, co oburzony chaosem klatek i krętych uliczek starego Rzymu, kazał go na cztery rogi podpalić, a siadłszy potém na wieży i przegrywając na lutni, cieszy się obrazem nowego Rzymu;“ daléj mając oceniać aktorów naszego teatru mówi: „poprzestać muszę na lekkim szkicu wieżyc i gajów, pracowitszym zaś piórem wykończę te góry, nie lodem okryte, a bengalskim ogniem płonące,“ daléj o powieściach pana Kraszewskiego: „Są to Syreny, których melodjom nikt ucha nie nastawi bezkarnie, by zaraz własnym nie zhołdował im śpiewem,“ a tego już nierozumiemy co to ma znaczyć że Kraszewski macza Gabrjelowe pióro swoje we krwi serc polskich (?) i nią (?) kreśli czarowne obrazy.

Pan Okraszewski mówi iż Żytomierz leży w Nemrodowéj kniei i ma ze wszech stron odwieczne lasy, a tym czasem cała południowa strona jest bezleśna, że wśród cudownie pojawionéj oazy, wykwita miasto, a tym czasem przyjazdy do miasta wcale nie są powabne, łany, jak mieć chce pan O. nie falują złotą pszenicą, Teterów i Kamionka na wiosnę tylko pędzą, kaskadują i szumią i nie wśród miasta, ale obok w niemałéj oddali pomykają i są zasłonione od miasta nie uciesznemi ale poważnémi i wyniosłemi brzegami, z urwistych zaś skał granitowych drugi Königstein wykuć się nie da.

Po takim topograficznym opisie Żytomierza, p. Okraszewski o pobycie swoim r. 1828 w Żytomierzu, temi opowiada słowy: „Przybyłem i wyczytawszy z ręką bazgranego afiszu, że dnia tego teatr, dla doznania szalonego kontrastu po Wiedeńskich, Paryzkich, Londyńskich, Neapolitańskich i Rzymskich teatrach, idę tam, płacę złoty za bilet i cóż znajduję? Oto Artystów co się świeżo wyrwali z kniei otaczającej Żytomierz, tak z nich potężnie dymek leśno-zwierzęcy parował, którym się wszakże o grze coś ochapiało, lecz biedne kobiety całkiem były excentrycznemi (?) którym za podniesieniem kortyny wywietrzała cała poprzednia musztra, oniemiały niebogi i stały na scenie niby wypchane lalki tak, że wymagać od nich gry, gestykulacji i roli, było to szukać gruszek na wierzbie. A publiczność? z martwéj osłupiałości i drzemki, nic jéj zbudzić nie mogło; w apatji takiéj podobna do odrętwiałości węża Boa, który połknąwszy barana (?) przy zawieszeniu organicznego ruchu i życia(?) automatycznie trawi i dwa razy się tylko ocknęła, raz na widok szafy nad którą wielkiemi literami stał napis „biblioteka“ za jéj zaś otworzeniem pokazały się na półkach sztofy z gorzałką a drugi raz (co było kwiatem zajęcia) gdy kozaczek z bandurką zaczął pląsać i prysiudywać... Tu dopiero wybuchł entuzjazm i od grzmotu oklasków tylko co nie zawaliła się klatka, przezywana teatrem.“—Aż zgroza przejmowała czytając te chryje i najniedorzeczniejsze wymysły. Miły Boże! wołamy, czy się godziło takiéj surowości, takiéj otaickiéj dzikości obraz stosować do Żytomierza przed 30 laty! czy się godziło tak deptać i poniewierać niedaleką przeszłość miasta, które zostawiło z téj właśnie epoki tak świetne po sobie wspomnienia!... Że społeczność ówczesna nie była odrętwiałym wężem Boa, zdolną tylko przyklaskiwać prysiudom kozaczka z bandurą, dosyć powiedzieć że jéj przewodniczyli tacy ludzie, jak Worcellowie, Czetwertyńscy, Lubomirscy, Moszyńscy, Leńkiewicze, Steccy, Ilińscy, Piotrowscy, Pruszyńscy i t. p. o których znakomitym rozumie i zacnych dążnościach mówi i miejscowa żywa tradycja i piśmienne pamiętniki między innemi nie dawno drukiem ogłoszone Duklana Ochockiego, a co do teatru nie mógł się on składać z aktorów co się świeżo wyrwali z kniei, z których potężnie parował dymek leśno-zwierzęcy, kiedy nad nim trzy-

---

SODALIS MARIANUS.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
ZE STARYCH XIĄG I PAPIERÓW SPISANA,
przez
Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

(Patrz Nr. Kroniki 271.)

On od lat kilku wzięcie hetmana, w czasie spodziewanéj przez siebie od dawna konfederacji, i pozbawienie go tak szkodliwéj w jego ręku buławy, położył sobie za cel wszystkich prac swoich i wszystkich tak mozolnych zabiegów, — on nawet uczynił na Jasnéj Górze ślub potajemny, że się musi rozprawić z tym, jak go nazywał, zdrajcą wielkim koronnym, — on może wreszcie, tak Leduchowskiego, jak Potockiego i innych, najskrzętniéj do tego kroku namawiał, a może i on ich do tego postanowienia ostatecznie nakłonił: — a tymczasem Potocki, mając już tego senatorskiego jeńca w swych ręku, ni ztąd ni zowąd sam go wypuścił! — Szczęściem to było dla Sieniawskiego niemałem, iż w ową chwilę, kiedy ze zamku wyjeżdżał, tryumfujący z zwycięztwa rotmistrz bawił się właśnie w podzamkowych piwnicach: bo gdyby nie to, jak Bóg na niebie, byłby go własną ręką zatrzymał i z swymi stronnikami raczéj gwałt zrobił, niżeli na uwolnienie zezwolił. Lecz dowiedziawszy się o tym wypadku dopiero nazajutrz, wpadł tylko w gniew piorunowy, i uniósł się był nawet cokolwiek w obec pisarza, lubo wkrótce na przeprosinach ten wybuch swéj żarliwości zakończył. Owo więc, kiedy nazajutrz w wieczór przybiegł ów kurjer do Leduchowskiego i pisarz już sam nie wiedział, jakby miał sobie w tym fatalnym wypadku postąpić, to zawezwał do siebie rotmistrza i jemu ten frasunek powierzył. A rotmistrz, któremu to uwolnienie hetmana jak głaz piekielny ciągle ciężyło na sercu, wcale długo się nie namyślał, tylko rzekł pisarzowi:

— A to mnie więcéj nie trzeba, jak tylko takiego rozkazu. Wezmę tedy garsztkę ludzi i pójdę za nim, może ja go jeszcze dostanę.

A pisarz na to:

— Choćbyś go nawet nie dostał, to i na tem dość będzie w tym razie, że pójdziesz, bo będziemy mieli czem się usprawiedliwić przed Leduchowskim.

— A cobym go nie miał dostać! — zawołał rotmistrz, — przecie mi jeszcze konceptu do wzięcia Brzeżan nie braknie!

Tak zaufany w swój dowcip i doświadczenie wojenne, wziął sobie dwie chorągwie pancerne, a do nich trochę piechoty na wozach z kilką armatek i wyruszył jeszcze téj saméj nocy do Brzeżan.

A kiedy to się działo na zamku, x. Rupniewski, jako już nieodstępny doradzca pisarza, był sam temu przytomny, jakoż niezmiernie się tą nową decyzją sfrasował. Miał zaś do tego frasunku powód jeszcze o tyle ważniejszy, ile że w skutek swoich pilnych relacji prawie wiedział na pewno, że hetman jeszcze dotychczas nie dojechał do Brzeżan, tylko wstąpiwszy do Przemyślan po drodze, tam po tych zgryzotach i trudach, które czy to w swéj naiwności, czyli w zarozumieniu, uważał już za skończone, tymczasowo spoczywał. Było tu tedy rzeczą nieledwie pewną, że rotmistrz zgoni go w Przemyślanach, a że go z nieobronnego dworu weźmie i pewnie z swych rąk nie wypuści, nie mogło być ani wątpienia. Sufragan tedy przestraszył się téj

mali dyrekcję znowu tacy ludzie jak Ludwik Stecki, Piotr Moszyński i t. p. kiedy tam był Żmijowski najlepszy uczeń Bogusławskiego, Niwiński znakomity potém na scenie Warszawskiéj i Malinowski tragik, tak wielkich zdolności a nadewszystko tak porywającéj deklamacji, że równego sobie pod tym względem nie miał i w Warszawie.

Dotychczas jest i długo będzie wspominany on z odgrywania na scenie Dziadów Mickiewicza, na co nikt się inny nie poważył, my zaś sami najżywiéj to pamiętamy jak w „Matce rodu,“ w „Człowieku honoru,“ publiczność cała do łez nieutulonych poruszana bywała a i aktorki nie musiały być takie trusie, takie wypchane lalki, jak o nich p. Okraszewski pisze, kiedy właśnie w owym czasie kilka z nich, dziś jeszcze żyjących, najświetniejsze porobiły partje, to jest powychodziły za mąż za marszałków i adwokatów.

Tak samo jak publiczność i aktorów i martwe przedmioty niszcząca ręka pana Okraszewskiego dotknęła; mówi on że klatka co się teatrem zwała od gromu oklasków tylko co się nie zawaliła, kiedy był to ten sam teatr w którym mało co przed tém, dawany był bal w czasie bytności błogosławionéj pamięci Cesarza Alexandra I, a na oświecenie którego potrzeba było użyć, jak pisze Ochocki w swoich Pamiętnikach, dwa tysiące świec i tysiąc lamp.

Ale to z umysłu, dla kontrastu zrobił p. Okraszewski taki przesadzony opis dawniejszego teatru, żeby przy nim lepiéj uwydatnić dzisiejszy, użył że powtórzymy własne jego słowa dobry kawałek chytrości (słowa powiedziane do malarza Rodziewicza, który jakoby cierpi lichą kortynę dla tego, żeby za jéj podniesieniem lepiéj się wydały jakie takie dekoracje). Lecz takie sztuki ze szkodą prawdy i obrazą a krzywdą bliźniego, i to bliźniego w składowéj osobie produkowane, są kary godne i przed kodexem prawa i przed trybunałem opinji. Przy takiem naładowaniu grubych farb na aktorów przed 30 laty już łatwoby to illustrować dzisiejszych—nie potrzeba było używać nawet olbrzymich porównań do Elborusów i Himalaji i to jeszcze bengalskim ogniem płonących, a nadewszystko takich subtelnych cieniowań ich przymiotów jak to np. że grę pani Miłaszewskiéj krasi ton wyższego towarzystwa, ów ton tak pięknie zdobiący a tak trudny do uchwycenia, jak złoty pyłek motylich skrzydeł jak mech ulotny przedniego fruktu.

Ale gdy tak się pan Okraszewski wysilił dla aktorów, za to publiczność srodze znieważył, nazwał ją bowiem bez najmniejszego zażenowania się.:... ale nie śmiemy powiedzieć jakim wyrazem nazwał, lepiéj powtórzymy text słowo w słowo z wykrzyknikami i kropkami: „Nie wszystkim to ananasy smakują, są i tacy którym potrzeba siana!....“ a zaraz niżéj: „krzesła i loże chętnie się garną do sianka!..... zwłaszcza gdy świeże, pachnące a zielone jak ruta.“ Tu już dziwić się i za złe mieć potrzeba redakcji Gazety Warszawskiéj, która trzymać powinna z korrespondentami solidarność, iż pozwoliła na wydrukowanie takiéj zniewagi, na publiczność naszego miasta rzuconéj. Coby to lud ateński uczynił, gdyby mu śmiał tak ubliżyć choćby Arystydes jaki!.... kiedyś i u nas opinja publiczna zaprowadzi ostracyzmy.

Ale powróćmy jeszcze do aktorów. Pan Okraszewski na wstępie do hymnu na cześć aktorów wyśpiewanego, wyraźnie zastrzega iż w krytyce raczéj zachęcać, niż zrażać należy—na co wszakże zgodzić się nie możemy, najprzód z téj racji, że każdemu tylko wedle zasług, prawdę wymierzać potrzeba, bo ta jedna, choćby za surowo powiedziana, prostuje, wykształca i wznosi, a przeciwnie jeśli dla tego żeby nie zrażać, krytyka pobłażliwą będzie a broń Boże jeśli dla tego żeby zachęcać, wysilać się będzie na porównania do gór niebotycznych, wówczas indywidua tem odurzone w wybujałość chorobliwą urosną i zamiast kształcić się, popełniać będą po swojemu brednie i dziwolągi, a powtóre w krytykowaniu gry, nie tyle się mieć powinno na względzie aktora, który dla chleba i oklasków i sam się kształcić musi, ale publiczność aby wykazaniem miejsc celnych i luźnych dzieła oraz gry złéj lub dobréj aktorów, prostować jéj wyobrażenia, kształcić smak i pojęcia piękna. A gdy tak jest, to biada krytycznemu pisarzowi, który fałszywem przekonaniem, stronnem wyobrażeniem, pochlebstwem lub inną słabostką uniesiony, w czemkolwiek publiczność obałamuci! Nie można też i aktora w niczem bałamucić, przedewszystkiem trzeba mu jego zdolność górującą wykazać, aby ją uprawiał i do szczytu podnosił. Gdyby nie tego rodzaju uwagi pierwszego recenzenta Racheli, kto wie możeby się nie stała tém, czem była, a tymczasem pan Okr. wyraźnie bałamuci panię Miłaszewską, utrzymując, iż „ona pieszczotliwy gołąbek, nigdy się nie może przedzierzgnąć w sępa“ wtenczas, kiedy pani Miłaszewska jest jedynie sępem, to jest jak to miano rozumie p. Okr. posiada wyłącznie zdolności tragiczne. Trzeba ją widzieć w Marji Stuart, a mianowicie w scenie jéj z Elżbietą, jak ona umiała wybuchnąć w zapamiętałość! z jaką siłą piorunu rzuciła w oczy Elżbiety najsroższą obelgę o jéj urodzeniu! Sceny téj, potęgi sprawionego wstrząśnienia, opisać nie podobna— widzowie drżą i truchleją. Tak pisaliśmy o tragiczności pani Miłaszewskiéj w Nrze 15ym tegoroczněj Kroniki i tego nie cofniemy. Zapewne że zdałby się jéj, jak koniecznie mieć chce pan Okr. wzrost wyższy do ról królewskich, ale przy wybuchu jéj zapału, w oczach widzów zda się podrasta, olbrzymieje.

Ale przystąpmy już do tego, co nas osobiście dotyczy i odpowiedzmy na robione nam zarzuty kategorycznie a sine ira et studio, choć tego względem nas bynajmniéj nie zachował pan Okr. Nachwaliwszy się do woli wybranych przez siebie artystów naszego teatru, mianowicie pp. Miłaszewskich, czyni p. Okr. następną do nas apostrofę: każda choćby najbielsza i najwonniejsza róża ma swego chrząszcza co ją gryzie i toczy. Takie zmetamorfozowanie nas, naturalnie powinnoby nas oburzyć, ale uspokoiła nas na ten raz cudza większa bieda, bo jużci lepiéj nam zjadać białe i wonne róże, jak sianko, choćby zielone jak ruta, które pan Okr. przeznaczył dla naszéj publiczności, zresztą na przekór panu Okr. pocieszyliśmy się nawet tem, bo przecież i Sofoklesa złośliwy lud ateński nazwał ateńską pszczołą. Daléj zarzuca nam, że jesteśmy recenzentem nieproszonym (a vice versa, że pan Okr. proszonym) lecz właśnie tak być powinno, bo sąd wyproszony należy do kategorji przedajnych, a jako taki jest stronny i na wiarę niezasługujący. Daléj powiada, że zdanie nasze wprost przeciwnie (antypodycznie) tłumaczyć potrzeba, że kogo pochwalimy, ten wart nagany et vice versa. Jeśli tak cóż teraz będzie z temi pochwałami które my tym samym artystom, których i p. Okraszewski chwalił oddaliśmy, jako panu Szajerowiczowi, Czechowiczowi i p. Zwierowéj (nie popełniliśmy tylko żadnego qui pro quo jak to uczynił pan Okr. z panem Lutostańskim, któremu wielki przyznał talent za rolę Burleya w Essexie, któréj on nigdy nie grał, a grał ją pan Szajerowicz) co będzie (ciągniemy tę samą rzecz daléj) z pochwałą jaką złożyliśmy saméj pani Miłaszewskiéj i w pojawionéj wyżéj recenzji i późniéj w roli hrabiny Rutland w Essexie? (Nr 170 tegoroczněj Kroniki). Jest tylko w tem różnica, iż my z bezstronnego stanowiska traktując o jéj talencie, znalazłszy iż nie posiada wyższego artystycznego rozwoju, a tylko wielki zapas energji i instynktowe tylko poczucie sztuki, radziliśmy razem iżby się jęła naukowéj pracy i studjów, czytania recenzji i dzieł estetycznych (nie samych tylko recenzji o grze pani Ristori jak powiada p. Okr.), a gdy zaraz uznaliśmy, że tak uprawiając sztukę, przy wrodzonych zdolnościach jakie posiada może dosięgnąć najwyższych wzorów i zajaśnieć nie bengalskim ogniem ale blaskiem prawdziwéj sławy, tem samem, tą nawet naszą anti-miłosną w rozumieniu pana Okr. krytyką, więcéj podnieśliśmy p. Miłaszewską, jak sprawić to może dym słów panegirycznych, którym ją otoczył p. Okraszewski. Daléj dla przekonania nas że pani Miłaszewskiéj uczyć się nie trzeba, woła na nas p. Okr.: „czyż pan Okraszewski nie wie, że talent daje natura a nie żadna recenzja choćby najuczeńsza?“ Ale tu się najbardziéj myli p. Okraszewski. Talent bez nauki będzie to tylko surowy nieoszlifowany djament, który na śmiecie wyrzucić można.

My zaś sąd nasz o grze aktorów gruntowaliśmy i na sumiennem naszem przekonaniu i na przekonaniu ludzi kompetentnych, a że mamy dla teatru najlepsze chęci, o tem dał świadectwo p. J. I. Kraszewski w Nrze 64 tegoroczněj Gazety Warszawskiéj, które jedno aż nadto nam starczy przeciw uprzedzonemu sądowi pana Okr. Dla zbicia nas, że nauki i recenzje nie stworzą artysty, każe nam samym przywdziać koturn i kostjum i zagrać przed swą uczennicą Fedrę, Medeę, Kamillę.

Tu już zrobił pan Okraszewski takie fiasco, że

---

decyzji, a ponieważ już teraz, wbrew powtórnemu rozkazowi generalnego marszałka nie mógł się jéj sprzeciwić, hetmana zaś choćby dla saméj zasady ratować koniecznie pragnął; więc się sam zebrał czemprędzéj i do Przemyślan popędził. Ta jego ciągła o hetmana obawa, zakończona nareszcie podróżą, stała się powodem, że i on nie mógł o Ożarowskim pamiętać, — i nikt natenczas nie mógł o nim pamiętać, bo kiedy matka jego leżała sama w bezprzytomności, na niskim zamku i w całem mieście był taki rozgwar i popłoch przez ten dzień cały, że gdyby był Jerzy nawet i konał, to byłoby nie było, kto by mu był sprowadził xiędza.....

Mimo to wszystko przecież znalazł się jeden taki poczciwy człowiek w mieście, który w téj chwili fatalnéj jego sobie przypomniał. A nie był nim wcale kto inny, jak tylko ten dziwny szlachcic, który był niegdy przyjacielem jego ś. p. ojca, a którego zwano Murzą tatarskim. On bowiem, lubo był jednym z najskrzętniejszych współpracowników konfederacji, na dniu tym właśnie znalazł się bez żadnego zajęcia. Co było mu poruczonem do dnia dzisiejszego, on już wszystko wykonał — a pamiętny słów swego mentora: że zeskalanemi występkiem rękami nie godzi mu się przystępować do głównego oltarza spraw czystych i świętych i wolno mu tylko sprawować usługi podrzędne, — do tego wszystkiego, co się działo u góry, całkiem się nie mięszał. Wszedłszy już zresztą na tę drogę, na której przedsięwziął sobie, miast bierną skruchą i utrapieniem, pokutować za grzechy swoje poczciwemi czynami, tak był tych czynów spragniony, tak niemi nigdy nienasycony, iż ledwie co jednéj dopełnił pracy, już łaknął drugiéj, a dzień w którym nic dobrego nie zrobił, był dla niego, prawdziwem męczeństwem. Chodził natenczas jakby owca zbłąkana, nudził się, gderał, majaczył i póty szukał i szperał, póki koniecznie kogoś takiego nie znalazł, komu się mógł stać pożytecznym. Owóż nazajutrz po wzięciu Lwowa miał on także dzień taki: wszyscy byli szczęśliwi, a między szczęśliwymi nigdy on miejsca dla siebie nie szukał. Wpadł tedy na myśl, ażeby iść tam, kędy mają opatrywać rannych i grzebać umarłych — a tam wszedłszy, przypomniał sobie wprędce Ożarowskiego. Myśl ta prawie jak słońce wzeszła mu w oczach: bo przecież ojciec Jerzego był jego przyjacielem w czasach dla niego najgorszych, — ten ojciec, i kto wie, może właśnie z jego przyczyny tak nagle zszedł z tego świata, — dotegoż jeszcze Jerzy był takim bliskim Bobrownickiemu i Drohojowskiemu, którzy jeszcze zawsze wedle jego zdania mieli w swych ręku jedyny klucz do bram jego zbawienia! — Pobiegł on tedy czemprędzéj na niski zamek ażeby Jerzego odpytać. I odpytał go łatwo, a nawet, jako tak wierny, i wszystkim znany sługa konfederacji, zyskał wstęp do niego bez żadnéj trudności. Obaczywszy go wreszcie, jakże się zdziwił, znalazłszy go już po puszczeniu krwi prawie bez duszy, ba i bez najmniejszego ratunku. Pobiegł tedy w ten moment sam do pana Michała i opowiedziawszy mu rzecz, prosił go bardzo, ażeby mu zezwolił wziąć Ożarowskiego do miasta, wygodnie go gdzieś umieścić i pielęgnować w chorobie. Ale trafił on w chwilę jak można było najgorszą. Bo właśnie wtedy kurjer ów już był nadjechał, a pan Michał był w takim gniewie, że nawet nie chciał rozmawiać z Murzą. Jednakże Murza tem się nie zraził i nazajutrz dzień przyszedł znów do pisarza. — Przyjął go teraz pan Michał cokolwiek grzeczniéj, nawet za wczorajszą odprawę prze-

DODATEK.

aż nas żenuje odpowiadać mu na to, że on mający podobno lat ze sześćdziesiąt, lubo zna się doskonale na tańcu, a przecie nie zatańczy jak należy Kaczuczy lub Fandango tak jak i najznakomitsi estetycy.

Deklaracja. Dopiero na wezwanie wielu, można powiedzieć całego tutejszego ogółu, wystąpiliśmy do powyższéj z panem Okraszewskim rozprawy; ale że to nie obeszło się bez największéj dla nas przykrości, dla tego oświadczamy iż żadnéj już na przyszłość polemiki na tém polu nie podejmiemy—bo nie warto. *A. Kw.*

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

Telegramy.

Paryż 10 Października. Dzisiejszy *Moniteur* zawiera postanowienie Cesarskie, nadające margrabiemu Turgot wielki krzyż legji honorowéj. — Dziennik urzędowy donosi daléj, że Cesarzowa została z wielkim zapałem przyjętą w obozie w Chalons.

Londyn 9 Października. Jego K. Wys. Xiąże Adalbert pruski odpłynął wczoraj jachtem *Grille* z Portsmouth na pełne morze.

Hamburg 11 Października. (rano) Względem nieszczęścia jakie spotkało paropływ *Austria*, otrzymujemy dziś następujące wiadomości. Jeden ze statków, który po téj nieszczęśliwéj katastrofie zabrał część passażerów spalonego statku, przybył już do Halifax. Dziesięć osób z passażerów i tyleż z załogi statku *Austria* wysadzono na ląd w Halifax.

Hamburg 11 Października (przed południem godzina w pół do dwunastéj). Towarzystwo żeglugi parowéj, do którego należał nieszczęśliwy okręt *Austria*, otrzymało w téj chwili depeszę telegraficzną o téj katastrofie z Liverpoolu. Nieszczęście to spowodowane zostało w dniu 13 września o godzinie 2 po południu w skutku kadzenia smołą, albowiem beczka z zapaloną smołą przewróciła się. Francuzki bryg *Maurice* ocalił także część passażerów i wysadził ich na wyspie Fayal (jednéj z azorskich). Wymieniają nazwiska czterdziestu sześciu mężczyzn i sześciu kobiet uratowanych przez tenże statek *Maurice*. *(Preussischer St. Anzeiger).*

A N G L J A.

Londyn 7 Października. Głównym przedmiotem zajęcia, było dziś ogłoszenie przez rząd odpowiedzi lorda Canning na depeszę lorda Ellenborough, ganiącą proklamację, w któréj lord Canning ogłosił konfiskatę własności powstańców w państwie Oude.

Przyjaciele gabinetu chwalą go przy téj sposobności, że daje wiedzieć narodowi wszystko co się dzieje. Jedna rzecz jest pewną, to jest, że lord Stanley, nowy minister Indji, jest wielkim stronnikiem jawności i że w brew zdaniu swego ojca hr. Derby, wierzy on bardzo w potęgę i wpływ prassy.

Nie to jednak jest główną przyczyną, wyjaśniającą tak szybką publikację tego dokumentu. Depesza lorda Canning wyrównywa usprawiedliwieniu krytyki, z jaką lord Ellenborough wystąpił i skutkiem któréj ten mąż stanu usunął się, ponieważ ten dokument broni absolutnéj konfiskaty gruntów w Oude, jako środka faktycznego, wywołanego koniecznie przez powstanie.

Ten wypadek przypomina nam ducha dawnych dyskussji parlamentarnych i pokazuje, jak bardzo niebezpiecznem jest dla zgromadzeń ludowych dawać stanowczy sąd za lub przeciw jakiemu faktowi, nie znając jeszcze wszystkich szczegółów mających z nim związek.

Mówiliśmy wczoraj o mowie sir G. C. Lewis, i jeszcze raz wracamy się do niéj, aby powiedzieć, że słowa byłego kanclerza skarbu, który zachował znakomite stanowisko w swojem stronnictwie, uważane są za kompromitujące jego przyjaciół politycznych w obec kraju. *Morning Chronicle* która nie jest związaną żadnym silnym węzłem stronniczym, mówi dziś w tym przedmiocie, że whigowie starają się o pomoc torysów wstecznych jedynie tylko dla zneutralizowania kombinacji między naczelnikami postępowemi konserwatystów z liberalistami niezawisłemi. Naszem zdaniem, jest to bardzo trafne wytłumaczenie dążności i zamiarów mowy sir. G. C. Lewis.

Niepodobna zresztą przypuszczać, żeby słowa byłego kanclerza skarbu, mogły być przypisywane chwilowemu nierozmyślnemu uniesieniu, bo jak wiadomo, sir G. C. Lewis jest człowiekiem wielkiego talentu i zręczności, i który wybrany został przez lorda Palmerston, jako najzdolniejszy członek jego stronnictwa, po panu Gladstone do zarządzania ministerstwem skarbu.

Jeżeli się nie mylimy —a dawno już powiedzieliśmy, że konserwatyści staną się liberalnemi, a liberaliści konserwatystami— należy się spodziewać wkrótce nadzwyczajnych zmian w zewnętrznem ukształtowaniu stosunków politycznych. — Przed kilku laty ktoby był poważył się twierdzić, że dawni protekcjoniści staną się sprzymierzeńcami *free tradystów* i że p. Bright kiedyś popierać będzie bezpośrednio i pośrednio p. Disraeli. To, co wówczas zdawało się być niepodobieństwem, dziś jest faktem.

Również zdawałoby się niepodobnem przed kilku laty, że uznani naczelnicy stronnictwa whigowskiego, starać się kiedyś będą o przymierze parlamentarne z ultra-konserwatystami. A jednak to się dziś stało.

Naturalnie narzuca się tu pytanie, co uczyni lord John Russell? Czy on nie będzie protestował, skoro inni przywódcy whigów działać będą przeciw rozwinięciu zasad reformy parlamentarnéj w duchu demokratycznym? Sądzimy, że on nie zechce spokojnie patrzyć na takie usposobienie idei jego stronnictwa. Dla tego zobaczymy zapewne wkrótce najdziwniejsze zmiany, zachodzące w położeniu ludzi politycznych. Nie śmiemy głosić naszego przekonania względem tych rozmaitych punktów, wolimy poczekać jeszcze trochę. Od dość dawnego już czasu znajdujemy się wpośród ciszy politycznéj, która nie jest naturalnym stanem Anglji. Za trzy tygodnie znajdziemy się w najzupełniejszéj agitacji.

Jeden dziennik londyński, *Correspondance generale*, w następujący sposób mówi o wrażeniach sprawionych w Anglji przez wysłanie dwóch statków wojennych francuzkich do Lizbony.

W niektórych kółkach politycznych objawia się niejakie pomięszanie, niezadowolenie, w skutku demonstracji rządu francuzkiego przeciw rządowi portugalskiemu. Fakt wysłania dwóch okrętów linjowych, zrazu podawany w wątpliwość, dziś jest potwierdzany i jakikolwiek będzie ostateczny rezultat tego faktu, widocznie nie bardzo spokojnego, — zawsze jednak ma on charakter uczuć nieprzyjacielskich dla rządu portugalskiego. Przyczyna téj demonstracji sprawia tu tem bardziéj nieprzyjemne wrażenie, ponieważ upatrują w tem dowód antyliberalnych dążności rządu francuzkiego, co się dotyczy handlu niewolników. Obstawanie Francji przy projektach wolnéj immigracji murzynów, uważają tu za rzeczywisty atak, chociaż ukryty, przeciwko polityce angielskiéj i w tem to stanowisku umieszcza się nasza prassa, mając osądzić tę nową demonstrację przeciw rządowi portugalskiemu.

Biegała tu wieść, że rząd angielski upoważnił a przynajmniéj wiedział o wysłaniu dwóch okrętów wojennych do Lizbony, również jak o powodzie tego poruszenia, ale w kółkach ministerjalnych zaprzeczają temu, twierdząc, że tu o niczem nie wiedziano, że wieść ta wszystkich zadziwiła i że w skutku tego wezwano natychmiast pana Disraeli ze wsi, wiadomo bowiem, że pan Disraeli chociaż jest kanclerzem skarbu, należy jednak do liczby ministrów energicznie zajmujących się kwestjami międzynarodowemi. To pewna, że *Morning Herald*, organ gabinetu, zaprzeczył zrazu faktowi demonstracji zbrojnéj przeciw Portugalji, i dziś mówi o jego ważności, spodziewając się atoli, że rezultaty nie będą szkodliwe. Opinja publiczna jednak żywo się okazała dotkniętą tem poruszeniem i głośno domaga się interwencji angielskiéj na korzyść Portugalji.

Wczoraj wieczorem odbyło się zgromadzenie Stowarzyszenia reformy politycznéj, ale to zgromadzenie miało raczéj charakter prywatny a nie publiczny. Meeting ten uorganizowany został w celu powitania pana Cowen z Newcastle, który przybył jako reprezentant stowarzyszenia reformy politycznéj w północnéj części kraju. Pan Cowen miał mowę bardzo umiarkowaną, w któréj wezwał stronników reformy, aby się połączyli

(a) Umieściliśmy tę przydługą korrespondencję teatralną jedynie z tego względu że ona jest wiernem odbiciem zdania ogółu w Żytomierzu, co do sądu p. Okraszewskiego o tamtejszym teatrze, nie lubimy bowiem, w ogólności mówiąc, rozpisywania się korrespondentów o talencie prowincjonalnych artystów dramatycznych, gdyż takie ocenienia bardzo mało interessują czytelników z innych stron kraju, nie mających żadnego udziału w czysto miejscowych uwielbieniach lub antypatjach. *(Przyp. Red. Kron.)*

---

praszał, ale ku jego prośbie przecież się nie przychylił, a wtomiast rzekł:

— Znam ja ciebie, mój panie, zacnyś jest człowiek i wielkie nam oddałeś przysługi; aleś ty równo ze mną ludzkiego serca i jak ja Sieniawskiemu, tak ty Ożarowskiemu pokrewny. Już tedy wiesz, na czemby się ta kuracja skończyła: a ja na to zezwolić nie mogę. Wypuściłem już jednego, a ten mi stanął tak w gardle, że teraz już ani bebnisty żadnego nie puszczę!

Naprożno Murża dawał swoją fortunę w zastaw, ba głową swoję zaręczał, że Ożarowskiego po wyzdrowieniu sam odprowadzi na zamek: pan Michał był niewzruszony, a nawet w jego przytomności najsurowszy dał rozkaz Garbowieckiemu, ażeby tego szlachcica ani w wnątrz zamku nie wpuszczał. Więc tedy Murża dziwnie się tem ufrasował. Lecz jako był namiętnym we wszystkiem, czego zapragnął, i bardzo przytem upartym, — a oprócz tego i wierzył jeszcze, że jest jakiś niedobry duch przy nim, co mu do wszystkich dobrych uczynków przeszkadza i przeszkadza tem uporniéj, im który uczynek ma być zbawienniejszym dla niego, — tak tą odprawą pisarza nie dał się wcale zachwiać w swem przedsięwzięciu, owszem nawet przeciwnie, jeszcze tem gorętszéj nabrał fantazji. A tak się rozgrzawszy, postanowił sobie, niechaj się potem stanie co chce, wykraść Jerzego ze zamku. — Ale jak tu się z tego postanowienia wywiązać? — Sam go dokonać nie mógł, a choćby był mógł znaleźć we Lwowie ludzi, którzyby mu się do téj imprezy byli najęli, toż przedewszystkiem trzeba tu było kogoś takiego, ktoby znał zamek tak dobrze, żeby i w nocy mógł tam trafić z łatwością, gdzie zechce. Jednakże jak jedno, tak też i drugie, okazało mu się wprost niepodobnem, jeżeli bowiem do podobnych przedsięwzięć zawsze o wspólników nie łatwo, to w położeniu ówczesnem miasta, zwłaszcza też przy tak groźnem usposobieniu pisarza, już samo zwierzenie się komuś z takim zamiarem było dla roztropnego człowieka niewykonalnem. Murża tedy się kręcił, szperał, nurkował po wszystkich kątach, ale wszystko naprożno. Wszakże natenczas, kiedy z niecierpliwości był już prawie bliskim rozpaczy, przyszedł mu na myśl ów pułk wiedeńczyków dawniejszych, a dziś Sodalisów, którzy przez całych lat pięć bez przerwy konsystowali we Lwowie i zawsze trzymali straże na zamku, a często nawet przez zimę w nim wraz z Granowskim mieszkali. Ci ludzie znali oczewiście zamek daleko lepiéj niżeli ten, który go wymurował, ci ludzie byli od najdawniejszych czasów na żołdzie hetmana, a Ożarowski był także hetmańskim, ci ludzie wreszcie byli już od półtora roku pod komendą Jerzego, Jerzy z nich zrobił prawie najpiękniejszy pułk w całéj Polsce, dał im rozgłos i sławę i cały byt ich polepszył: nie mogło być tedy na żaden sposób, (tak się Murża domyślał), ażeby oni nie byli za to wdzięczni swemu dowódcy, ażeby go nie kochali i w razie jego nieszczęścia nie potrafili się za niego poświęcić. Tak sobie to rozmyślawszy, nie zastanawiał się już ani jednego momentu, tylko wziął furkę i popędził do Brzeżan. I trafił tam w chwilę najlepszą. Podówczas bowiem tylko co była dobiegła wiadomość o tem, co się stało we Lwowie, a wskutek tego wszyscy Sodalisowie, jak ich było okrągło trzysta, byli jak struci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ściśle, aby usunęli wszelkie kwestje osobiste i trzymali się silnie przyjętych zasad. Nie potrzebujemy prawie mówić, że związek reformy, który założył główną kwaterę w hotelu Auderton, liczy między swemi stronnikami reprezentantów stołecznych, którzy zwykle bronią praw klass robotniczych do wolności politycznéj i którzy skłonni są doprowadzić agitacje tak daleko, jak tylko będzie można, jeśli otrzymają do rozporządzenia potrzebne fundusze. *(Indep. Bel.)*

CHINY.

Prywatny list z Szangai datowany 12go sierpnia, a zamieszczony w dzienniku *Pays*, o cztery dni późniejszy niż ostatnie doniesienia dzienników, podaje następujące nowe szczegóły w przedmiocie tamtejszego położenia rzeczy.

Vice-admirał Rigault de Genouilly przybył w dniu 2gim b. m. do Szangai z Peczeli, gdzie zostawił na stacji okręt transportowy żaglowo-parowy *Durance* i kanonjerkę pierwszéj klassy *Alanne*.— W chwili odpływania dywizji francuzkiéj, otrzymano wiadomości z Pekinu. Donosiły one że proklamacja rozlepiona z rozkazu Cesarza na wszystkich drzwiach Tri-betsan (sali pałacu do przyjmowania urzędowego) ambassadorów i wielkich urzędników państwa, tudzież na drzwiach Tienhan, czyli wielkiéj świątyni niebieskiéj, donosiła o zawarciu pokoju z Francją i Anglją.

Mówiono także, że ten akt został podany do wiadomości wszystkich gubernatorów prowincji zamorskich. Dowiedziano się tą samą drogą, że mandaryn Ki-Yng nie został skazany na śmierć i ścięty jak to donosiły dzienniki angielskie w Chinach. Ten wysoki urzędnik został zdegradowany podobnie jak Yeh i skazany na dziesięć lat pobytu w twierdzy. Obecnie jest on uwięziony w fortecy Tso-ho położonéj o trzy mile od stolicy, gdzie zwykle zamykają przestępców politycznych.

Dziwna ceremonja miała miejsce w końcu lipca w Pekinie.

Wiadomo że Czunk-Kuo-Leang naczelny wódz wojsk Cesarskich pod Nankinem, po wielkich powodzeniach, został z kolei pobity w początku czerwca roku bieżącego przez powstańców i że ta klęska miała bardzo niepomyślne skutki dla ogółu jego operacji. Nie śmiano degradować tego jenerała, ponieważ on bardzo kochany jest przez swoich żołnierzy, i ponieważ w takim razie byłby przeszedł na stronę nieprzyjaciół, którym byłby wyświadczył ważne usługi, ale skazano go na otrzymanie stu plag na obrazie malowanym. Ta szczególna kara spełnioną została w Wai-la-Tsung czyli głównéj kwaterze chińskiéj. Te same wiadomości donoszą także, że Cesarz nie chcąc użyć swego prywatnego skarbu na zapłacenie summy wynagrodzenia zawarowanéj w traktacie pokoju, wydał ukaz nakładający na niektóre południowe prowincje, najbogatsze w Cesarstwie, nadzwyczajną kontrybucję do wysokości summy wyrównywającéj zawarowanym wypłatom.

W dniu 11tym sierpnia główny korpus eskadry znajdował się w Szangai. W dniu 9tym jedna kanonjerka francuzka i jedna angielska, udały się w górę rzeki aż do Woo-Sing miasta położonego o dwie mile niemieckie od Szangai, gdzie stoją okręta służące na skład opium.

Marynarze francuzcy i angielscy zostali najprzychylniéj przyjęci przez władze i mieszkańców tego miasta. Rozpoczęły się między panami Smith i Lau inspektorem celnym ze strony Francji i Anglji z jednéj strony, a dyrektorem kommissji celnéj chińskiéj, konferencje objaśniające z obu stron bardzo przychylne uczucia. W ogóle ludność prowincji Kiam-Su ze wszystkich mieszkańców Chin, najlepiéj jest usposobioną względem cudzoziemców. Traktat pokoju został przyjęty z wielką radością w Szangai. Dowiedziawszy się o jego zawarciu przed przybyciem eskadry, mandaryn gubernator posłał do pana Montigny konsula francuskiego, i do pana Robertson konsula angielskiego, z powinszowaniem tego szczęśliwego rezultatu. Duch publiczny w tém mieście zupełnie jest różny od tego jaki panuje w Kantonie. Zajmują się tam szczególnie interessami i pojmują całą korzyść jaką mieć mogą z przyjaźnych stosunków z cudzoziemcami. *(Indépendance Belge.)*

FRANCJA.

Paryż 9 Października. Giełda dziś okazała dążność zniżenia kursów i przypisywano to pogłoskom w przedmiocie Portugalji. Jest to przyznać należy, jedno z najdziwniejszych złudzeń, jakim giełda kiedykolwiek dała się uwieść. Tyle pewnego o tém dowiedzieliśmy się. Przed dwoma dniami nadesła tu nota od rządu portugalskiego, proponująca oddanie téj sprawy pod pośrednictwo trzeciego mocarstwa, które w propozycji gabinetu lizbońskiego nie zostało wymienione. W odpowiedzi na tę propozycję, hr. Walewski zaproponował na dziś konferencję ministrowi Portugalji. Nie wiemy nic więcéj w tym przedmiocie; dowódcy statków *Austerlitz* i *Donauwerth*, którzy udają się na Tag, nie mają instrukcji któreby ich upoważniały do użycia środków zmuszających, wyjąwszy w przypadkach których nateraz logicznie przypuszczać nie można. Najgroźniejszym rezultatem do jakiego posunąć się mogą te statki, jest przywiezienie z powrotem do Francji margrabiego de Lisle de Siry, naszego ministra przy dworze portugalskim, jeśli rzeczywiście dyplomacja nie zdoła załatwić tego interessu.

Co do Anglji, któréj interwencja mogłaby nadać niejaką ważność téj sprawie tak nieproporcjonalnego sporu, zbyt ona zawikłała się w kwestji *Cagliari*, aby mogła otwarcie ganić postępowanie mniéj energiczne niż to jakiego ona dopuściła się w zatargach z Neapolem.

Cesarzowa wyjechała dziś do obozu w Chalons.

Dziś odbyło się posiedzenie rady ministrów pod prezydencją xięcia Hjeronima. Myśl zebrania wszystkich ministrów na posiedzeniu w Chalons zostało zaniechaną.

Zapewniają że bardzo ostre reklamacje mają być przesłane dworowi w Siam, z powodu niewykonania rozmaitych klauzul traktatu zawartego niedawno przez pana de Montigny.

— Od kilku dni warsztaty mennicy odbijają same tylko sztuki 2 frankowe, 1 fr. i 50 centymowe.

— Pani Thouvenel przybyła do Paryża. Pan Thouvenel jak wiadomo odroczył swój wyjazd do czasu dokładnego dowiedzenia się o charakterze i szczegółach missji lorda Stratford de Redcliffe.

— *Algésiras* i *Impetueuse* pozostaną jeszcze zapewnie przez niejaki czas na Adrjatyku. Minister marynarki wydał rozkaz przesłania im zapasów w ubraniu i innych efektach. *(Ind. Belge.)*

TURCJA.

Presse d'Orient zawiera korrespondencje z Adrjanopola datowane 23 i 24go września, w których znajdujemy następujące szczegóły o wylewach, o których donosiła po krótce depesza z Tryestu wczoraj zamieszczona.

W dniu 16tym b. m. rzeka Maryca wystąpiła z brzegów i wylew był bardzo silny. Najstarsi ludzie nie pamiętają żeby w téj porze było takie straszne wezbranie. Wezbranie to nastąpiło z taką szybkością, że w ciągu dwóch lub trzech godzin woda wystąpiła z koryta i zalała równinę i niższe cyrkuły miasta. Na szczęście nie było żadnych ofiar w ludziach. Co do szkód pieniężnych, muszą one być bardzo znaczne, ponieważ wielkie massy zboża znajdowały się jeszcze na równinie i zostały zabrane przez wodę wezbranéj rzeki.

W Filipopolu katastrofa ta przybrała daleko straszniejsze jeszcze wymiary; donoszą nam, że wylew był tam okropny. Od siedmdziesięciu lat nie widziano tam podobnego. Przez dwa dni rzeka unosiła trupy ludzi, bydła, szczątki zwalonych domów i wszelkiego rodzaju towary i ruchomości. Liczbę domów zniszczonych zupełnie w Filipopolu i okolicach podają na 1000. Niektóre magazyny napełnione towarami, nie mogły oprzéć się prądowi, zawaliły się, a towary rozniosła woda. Ileż to ludzi wczoraj bogatych, dziś są nędznemi bez przytułku i chleba.

W innem doniesieniu czytamy:

Wylewy których byliśmy świadkami w zeszłym tygodniu, są jednym z tych fenomenów jakich w naszych okolicach nie zdarza się widziéć dwa razy w ciągu pół wieku, a szczególnie w miesiącu sierpniu. Na szczęście wylew ten trwał krótko. Ponieśliśmy niemałe szkody, ale te są niczem w porównaniu z naszemi okolicami nadrzeźnemi. Mówią że w Parardeja około 300 domów padło w gruzy, wszystko co się w nich zawierało, przepadło zupełnie.

W Filipopolu liczą także do 300 domów zawalonych lub ciężko uszkodzonych przez nagłe wezbranie rzeki. Co do szkód w grubem i drobnem bydle, w zbożach których znaczna część znajdowała się jeszcze na polu, w drzewie budulcowem i stolarskiem, są one niezmierne. Rzeki także wiele ucierpiały w tamach i szluzach. Przeszło pięćdziesiąt osób zginęło w toni. Przypuszczają że cyfra strat materjalnych które dotąd nie mogły być oznaczone, dojdzie do 15 miljonów piastrów.

Ponieważ od Humali Hepedżu aż do Mustafa, prawie wszystkie pasze grunta zostały nagle zalane wśród nocy, przeto trzody bydła rogatego, owiec i kóz, zaskoczone gwałtownym przyborem wód, zostały zalane. Jeden pasterz pilnujący 250 kóz, ocalił się szybką ucieczką na drzewo. Po trzech dniach dopiero uwolniono go, o mało nie umarł z głodu. *(Ind. Belge.)*

Przegląd Muzyczny.

FLIS,

OPERA W JEDNYM AKCIE,

słowa Stanisława Bogusławskiego, muzyka Stanisława Moniuszki.

Przybywszy do Warszawy po trzech-miesięcznéj przeszło nieobecności, znalazłem w naszéj dziedzinie muzycznéj mnóstwo nagromadzonych faktów, o których należałoby zdać sprawę czytelnikom moim.

Wydawcy tutejsi, nieszczędząc nakładów, przysłużyli się publiczności znaczną liczbą dzieł istotnéj artystycznéj wartości; z tego to powodu, pomiędzy kompozytorami naszemi, rozbudziło się życie niemałe. Prace ich ze współczuciem od ogółu przyjmowane, zapewniając korzyść pierwszym, pobudzają drugich do chwalebnéj na polu muzyki krajowéj czynności. Ze wszystkich jednakże, p. Moniuszko najpopularniejszy dzisiaj, bezprzykładnem swéj *Halki* powodzeniem, największéj okazuje czynności, największą liczbą pełnych wartości prac swoich, współziomków obdarza. Urocze dźwięki *Halki* nie mogą jeszcze nasycić spragnionéj publiczności długą przerwą w operze narodowéj, długą posuchą niszczącą nawet jéj tradycje, a już *Flis*, zrodzony w wyjątkowéj dla siebie okoliczności, przedstawia się ogółowi, w sercu jego z dniem każdym coraz większą przychylność i przyjaźń dla siebią zdobywając.

O tym *Flisie*, rozmaicie podzielone tu opinje zastałem; jedni utrzymują, iż muzyka téj opery jest zamądrą i zazbyt opracowaną do prostéj i niczem nieodznaczającéj się treści pana Bogusławskiego; drudzy, żalą się na brak melodji narodowych, albo raczéj gminnych, jakie według ich zdania, Moniuszko powinien był do *Flisa* zastosować; inni bezwarunkowo treść potępiając, całą zaletę i wartość dzieła muzyce przypisują. Nie brakuje także narzekań na śpiewaków, orkiestrę i t. p., bo warszawianie już to mają do siebie, że gdy idzie o zdanie w sferach nauk ścisłych, obowiązujących do koniecznéj znajomości przedmiotu badaniami i studjami naukowemi, tam nigdy prawie, a przynajmniéj bardzo rzadko z sądem swym występują, ale zupełnie co innego bywa w orzeczeniach odnoszących się do malarstwa, rzeźby albo muzyki. Tutaj każdy sądzić i wyrokować może, bo każdy ma się za tak ukształconego w estetyce, że proszony lub nie, z sądem swym rad się popisuje. Gdyby to jeszcze ograniczano się w ponfuem kółku towarzyskiem, mniéj byłoby biedy, ale niestety, wielu chwyta za pióro, nie wahając się, bez należytego przygotowania, bez należytego zastanowienia się nad tem co czynią, wyroki swoje publicznie ogłaszać. Najczęściéj z cudzoziemskich konopi linę sobie uplotą i daléj wyprawiać na niéj kozły, nieraz bardzo pocieszne. A ogół chciwy nauki czyta, patrzy, męczy się w dociekaniu napuszonych i bengalskim ogniem olśnionych frazesów, a z swędu jaki ztąd powstaje, silnego tylko zawrotu głowy za całą korzyść doznaje. Tak u nas zawsze się dzieje z każdem nowem w dziedzinie sztuki pojawiającem się dziełem, tak szczególniéj bywa z utworami scenie poświęconemi. *Flis* więc, jako młodszy brat *Halki* (któréj także nieszczędzono, lubo ona pierwsza przyszła nam zwiastować nową w naszéj muzyce dramatycznéj epokę), sprawił niemało zamięszania pomiędzy *znawcami*.

Przyjściu na świat każdego utworu sztuki, towarzyszą zwykle pewne ukryte dla ogółu przyczyny, wiadome tylko najczęściéj samemu twórcy. Z *Flisem* rzecz się miała przeciwnie; wszyscy wiedzieli, iż pan Moniuszko w krótkim przeciągu czasu napisał operę i to wtenczas, gdy tenże wolny od zwykłych miejscowych zatrudnień, po za granicami własnego kraju szukał wypoczynku i rozrywki. Niekażdy z kompozytorów odważy się na coś podobnego. Wiadomo, że Meyerbeer, najznakomitszy dzisiaj dramatyczny kompozytor, partytury swoje chociaż zupełnie ukończone, chowa nieraz lat kilka, aż znajdzie według swego przekonania, czas dla pokazania ich światu stosowny, aż znajdzie wymaganych przez siebie śpiewaków, którzyby w całym blasku tłomaczami myśli jego być mogli, inaczéj za nic na świecie dzieła nie przedstawi. Niedosyć na

tem: sam zwykle obecny na próbach, dopóty powtarza, zmienia, przerabia, bez względu na cierpliwość i siły artystów, aż najzupełniéj zadowolniony, uzna dzieło godnem przedstawienia publicznego. Artyści Komicznéj opery w Paryżu, mówili mi, iż z opery *l'Etoile du Nord*, musieli dwadzieścia cztery prób odbyć, zanim przystąpili do pierwszego wykonania. Każdy głos orkiestrowy codzień był przerabiany, i tak: frazes co wczoraj miał fagot, dzisiaj przerobiono dla oboju lub klarynetu, figurę którą skrzypce miały, Meyerbeer skassował i dał dętym instrumentom; co wczoraj waltornie, dziś trombony mają i t. d. do takiego stopnia, że artyści przybywszy na próbę, głosów swoich poznać nie mogli, gdyż wciąż przerabiane na nowo były.

Cóż więc dziwnego, że po takiéj pracy, po tylu próbach, dzieło przedstawia się korzystnie i opinja publiczna do rzędu znakomitości, do rzędu arcydzieł je zalicza. Lecz niekażdy z kompozytorów ma powagę i wziętość Meyerbeera, a i tak nawet z utworem swoim wtedy tylko występuje, aż w spokojnem ustroniu swego gabinetu, albo po należytem prób odbyciu, nie uzna za stosowne światu go przedstawić. Moniuszko znajdował się w przeciwnem zupełnie położeniu; libretto schwyciło go w Paryżu, pracy jego naznaczono termin, z próbami śpieszyć się musiano, — jednem słowem, twórca *Flisa* miał przeciwko sobie wszystkie szanse, których właśnie panem być powinien, a pomimo tego, napisał i wystawił dzieło godne swego niepospolitego talentu, artystów i sceny, dla któréj takowe przeznaczył.

Franek flis (pan Dobrski), kocha Zofję (panna Rivoli), córkę Antoniego (pan Stysiński), zamożnego rybaka w Warszawie. Zofja nawzajem kocha Franka, ale ojciec przyrzekł wydać ją za Jakóba fryzjerczyka (pan Żółkowski) i pomimo nalegań i perswazji Szóstaka, dawnego żołnierza a teraz flisa (pan Troschel) i pomimo że sam sprzyja wielce Frankowi, raz danego słowa łamać nie chce i błagań Franka i Zosi niesłucha. Nareszcie pokazuje się, że Jakób jest rodzonym bratem młodego flisa, więc odstępuje mu praw do ręki Zosi — i na tem koniec.

Jak widzimy, p. Bogusławski niebardzo się silił na utworzenie libretta; z treści tak prostéj na pozór, mógł on coś lepszego, coś zabawniejszego napisać, charaktery osób głównie działających, lepiéj i stosowniéj rozwinąć, boć przecie talent dramatyczny autora *Staréj romantyczki*, *Lwów i lwic*, *Opieki wojskowéj* i tylu innych utworów niepospolicie napisanych, upoważniał do takiego mniemania. Ale p. Bogusławski niechciał, czy też nie miał czasu zrobić inaczéj, więc takie libretto posłał p. Moniuszce. Gdyby twórca *Halki* ułożył do niego muzykę lekką, trywialną, bezbarwną w koloryt dramatyczny, jak na to zasługuje, jak to dzisiaj kompozytorowie oper komicznych w Paryżu zwykli czynić, przybyłaby do naszego repertoaru operetka z dwoma lub trzema zgrabnemi i łatwemi do spopularyzowania piosnkami, ale bez żadnéj wyższéj artystycznéj i muzykalnéj wartości. Muzyka niemogąc uratować treści, zapewne przy pierwszem zaraz przedstawieniu przepadłaby z kretesem; powiedzianoby może, iż treść temu winna (jak to się zawsze prawie dzieje w podobnych wypadkach), ale uchroniłaby twórcę muzyki od zarzutu, który się daje słyszeć, iż kompozytor nie zastosował się wiernie do treści, iż napisał muzykę niestosowną, bo zabogatą, za mądrą do tak nikłego i bladego przedmiotu. Tak jest, Moniuszko nie miał wyboru, musiał libretto Bogusławskiego przyjąć i muzykę ułożyć. Widząc, że *Flis* ani dramatycznością, ani komicznością się nie zaleca, że jeżeli muzyka ma być wiernem odbiciem textu, nie ocali go, i *Halkę* zacnie zdobytą sławę na niechybny szwank narazi, wiedząc zresztą dla kogo ma pisać, postanowił wbrew przyjętemu zwyczajowi francuzkich kompozytorów, którzy zwykle do pełnych zalet librettów, słabą muzykę piszą, muzyką swoją *Flisa* uzacnić, uszlachetnić i podnieść go z farsy do wyższéj dzieła dramatycznego godności. Tak ja pojmuję tę najnowiejszą pracę Moniuszki, i tego mam najwyraźniejszy dowód w całéj muzyce téj opery.

Uwertura pełna życia, spotęgowana ku końcowi burzą, jest ustępem wysokiéj artystycznéj wartości, tak pod względem pomysłu, jako i instrumentacji. Niejednemu burza na Wiśle może się wydać rzeczą błahą w porównaniu z morskiemi uraganami, nie przeczę, ale spokojne jéj fale bywają nieraz straszliwie zakłóconemi. Przypomina sobie niejeden okropną burzę nad Wisłą, zdaje mi się w roku 1841. Galary z kąpiącemi się na Pradze, od gwałtownego wichru pozrywane z brzegu, zapędzone były pod Taras zamkowy, czółna z płynącemi do kąpieli na środku rzeki poprzewracane zostały, a nawet kilka osób w dniu tym życie utraciło.

Nie należy więc potępiać pana Bogusławskiego, iż zmusił kompozytora do odmalowania burzy muzyką, można się było wprawdzie bez niéj obejść, ale autor textu wiedział, że tym sposobem daje pole kompozytorowi rozwinięcia swoich muzykalnych zasobów, za co mu ogół pewno wdzięcznym będzie. Cóż naturalniejszego jak po burzy modlitwa? Otóż myśl ta najszczęśliwsza z całego libretta *Flisa*, znakomicie pojętą i oddaną przez Moniuszkę została. Uwertura tudzież modlitwa wykonana przez chór rybaków, za najwspanialsze ustępy téj opery uważać należy, dramatyczny talent twórcy *Halki*, jaśnieje tu w całéj sile i blasku.

Na czele textu autor kładzie te słowa: „*Burza która stopniowo łagodzi się, a za podniesieniem kurtyny zupełnie się uspokaja, na firmamencie przesuwają się jeszcze czarne chmury, na koniec w całéj majestatyczności, odkrywają wschodzące słońce.*“ Otóż maszyniści nie czytali snadź téj przestrogi, bo za podniesieniem zasłony, ani śladu czarnych chmur, tem bardziéj burzy nikt nie dostrzeże. Nie wielka to strata aleź i zachód nad jéj spełnieniem nie wielki, a przecież maszyniści i maszynerje na to są na scenie, by sztuką swoją przyczyniali się do podniesienia illuzji, a nie uiszczenia jeszcze takowych.

Arja Zosi:

„O mój Franku moje kroćie“

(za wolno i rozwlekle nieco śpiewana), tudzież duet Zosi i Szóstaka, są ustępami w które im więcéj się wsłuchuje, tem więcéj ceni. Koloryt militarny tego ostatniego niczem nie usprawiedliwiony w texcie, muzyka uwydatnia. Dla czego Szóstak jest Flisem, czemu lepiéj nie tragarzem albo jakim innym stałym mieszkańcem nadwiśla i sąsiadem Antoniego? wpływ jego na Zosię i zażyłość z jéj ojcem zyskałaby na prawdopodobieństwie. Lecz dajmy pokój textowi, przejrzyjmy raczej muzykę.

Śpiewka Jakóba.

„Odkąd żyje w tem tu mieście“

również jak i druga jego arja

„Nie mów tego Zosiu miła“

cechuje lekkość, wesołość i swoboda. W tych dwóch ślicznych ustępach, Moniuszko dowiódł nam, że w pomysły swoje muzyczne zdolny jest rozlać wiele dowcipu i tego humoru, co jest istnym kwiatem oper komicznych. Kwestję więc wątpliwości co do przyswojenia nam tego rodzaju muzyki z czasem, kompozytor stanowczo na naszą korzyść rozstrzyga i wdzięczni mu za to jesteśmy. Lekkość w melodji, jasność w instrumentacji i humor, oto warunki będące główną podstawą dzieł podobnych. rola Jakóba nacechowana jest całą takowemi, jeżeli zaś w texcie zbywa jéj na istotnym dowcipie, w muzyce się on znajduje, proszę tylko zwrócić uwagę na miejsce w czwartéj scenie, gdzie Jakób śpiewa:

„Wiesz kto jestem?“

SZÓSTAK (*zuśmiechem*).

Nie wiem panie.

JAKÓB.

Jestem fryzier!

A co widzisz!

Już się mięszasz, już się wstydzisz.

i t. d.

Co tam w muzyce humoru i prawdziwego dowcipu.

Nie łatwo byłoby mi skończyć, gdybym chciał wszystkie miejsca tem się zalecające w arjach Jakóba wykazywać.

Dla chóru flisów:

„Dzisiaj mamy już pogodę“

i dla śpiewki Franka:

„Płyną tratwy po Wiśle, płyną i galary“

niemam dosyć słów do uwielbienia! Wszystko tu piękne i z duszą pomyślane.

A ustęp:

„Płyńże prędko Wisło stara“

oddany z tem uczuciem do jakiego Dobrski zdolny, tak silnie za serce chwyta i w duszy odwdzięcza, iż nawet istotę bez krwi będącą, rozbudzić i zachwycić musi.

Aż dotąd wszystko bardzo dobrze; lubo rozmaite pokątnie wykrzywiające się na *Flisa* opinje, jeżeli nie do ogółu pomysłów, to przynajmniéj co do szczegółów, raczą choć z lekka pochwalić lub tolerować muzykę Moniuszki, lecz gdy przyjdzie do kwartetu, wówczas gniew swój szczery lub nieszczery objawiają. Dla czego? bo im się kwartet nie podoba, bo jak utrzymują „jest ciemny i niezrozumiały.“ Że im się kwartet niepodoba to nic dziwnego, zresztą łacińskie przysłowie powiada *de gustibus non est disputandum*, ale jeżeli jest ciemny i niezrozumiały, to nie wina uczonych w kombinacjach cztero-głosowych modulacji kompozytora, to nie wina jego niezmiernie starannego opracowania, a raczéj wykonawców, ktorzy albo niedosyć pojęli takowe, albo jeszcze nie oddają je z tą starannością i uwagą, z jaką wszystkie tego rodzaju ustępy wykonane być powinny. Takie jest moje co do niniejszego kwartetu przekonanie, wypływające z sumiennego wczytywania się w partyturę. Zamiast więc stanowczo o nim wyrokować, zatrzymajmy się czas jakiś, przysłuchujmy się mu z uwagą, może też późniéj zgodzimy się wszyscy na jedno zdanie o tym kwartecie, i powiemy o niem to, co dzisiaj o całéj operze z wyjątkiem kilku osobiście nieprzychylnych kompozytorowi mówimy, iż jest dziełem pięknem, pełnem szlachetnéj godności, stwierdzającem wysoką zdolność Moniuszki na polu narodowéj muzyki dramatycznéj *M. K.*

ROZMAITOŚCI.

LIST ADAMA PŁUGA DO FELIXA PIETKIEWICZA.

Kilka wrażeń z wycieczek na Litwę.

(Ciąg dalszy.)

(Patrz Nr. Kroniki 271).

Wróciwszy z téj wspomnionéj przechadzki po mieście i z kościoła poszedłem z hołdem serdecznym do starych moich nauczycieli kochanych. — Sześciu ich tylko w Słucku zastałem, Hesse, Jagiełło, Kurnatowski, Płochocki, Reczyński i Felicjan Wannowski, (Bogusławski pod ten czas wyjechał do Warszawy), reszta się albo na inne miejsce, albo do niebieskiéj chwały przenieśli. Nie zostałem już i najzacniejszego naszego prefekta Leopolda Wannowskiego i tego przed kilką laty Bóg wziął do siebie, lecz pamięć o nim w osierociałéj szkole trwa dotąd żywa i serdeczna, i pewnoby długo jeszcze tak będzie. trudno bowiem, aby mąż tak cnotliwy, tak zasłużony, nie zarobił na cześć potomną. Mówiono mi w czasie mego pobytu w Słucku o projekcie odbicia jego portretu i napisanie życiorysu. Nie wiem czy to już przyszło do skutku. a byłoby rzeczą bardzo pożądaną. Materjałów do życiorysu braknąć nie może, żyje zacny brat jego, żyją naoczni świadkowie wysokich cnót jego, a i w papierach po nim pozostałych znajdzie się mnóstwo szczegółów ciekawych, Sam mi pokazywał i czytał swój dziennik, w który wpisywał wszystkie swoje czynności, od chwili przebudzenia się aż do spoczynku nowego, czyniąc przed snem jakby rachunek sumienia, a to już dostateczne daje świadectwo czystości jego duszy, bo wieluż to znajdzie się takich coby wszystkie sprawy każdego dnia w swem życiu mogli śmiało w xięgę zapisać? Są też w jego papierach, rózproszone po różnych sexternikach, utwory poetyczne, ze wszech miar godne druku, nie tylko jako pamiątka, ale i ze względu wysokiéj swojéj artystycznéj wartości. Dobrze byłoby jeśliby wszystkie znalazły miejsce przy jego życiorysie. Co do portretu jest doń wzór wyśmienity, który na niedługo przed śmiercią Wannowskiego uczniowie gimnazjum ofiarowali mu w dzień jego imienin. Wiesz o tem jak ś. p. nasz prefekt starannie unikał wszelkich owacji, jak zawsze wilją jego imienin, noc całą mieliśmy wartować jego mieszkania, aby się nie wykradł przed naszem powinszowaniem, miarkuj więc jaką to dlań było niespodzianką, kiedy mu w darze złożono jego wizerunek, podobniuteńki do niego jak kropla do kropli, choć on ani w oczy nie widział malarza. Była to sprawa pana Hessego, którego pastylowe roboty można nazwać arcydziełem w swojem rodzaju. a któremu dosyć jest parę razy w życiu widzieć twarz jaką, aby bodaj w kilka lat potem zrobić jéj najwierniejszy konterfekt. Talent to szczególny, którego podstawą jest oprócz, ogromnéj pamięci, oprócz szczęśliwego dlań chwytania fizjognomji, głęboka jéj znajomość w ogólności.

Widziałem bowiem robione przez niego portrety osób, których nigdy nie widział, dano mu tylko sylwetkę albo szkic ołówkowy, albo minjaturę z lat młodocianych i powiedziano, że ta osoba miała lat tyle, a tyle, charakter taki a taki, była temperamentu takiego a takiego, że ten lub ów z jéj dzieci lub braci, tem lub owem ją przypomi-

na, i na tem koniec, wizerunek tak był dokładny że i fotografiji nie trzeba.

Lecz wracam do rzeczy. Poszedłem tedy do starych moich nauczycieli, każdy mię witał z taką radością, z takiem rozrzewnieniem jak syna dobrego, a żadnemu nie miałem potrzeby mówić swego nazwiska— bo każdy mnie poznał od razu, taka to pamięć serdeczna u tych ludzi, dla których stan ich nauczycielski nie środkiem do życia lecz powołaniem świętem, uczniowie nie jakimś narzuconym, wstrętnym ciężarem lecz dziećmi ukochanemi na całe życie. To też z troskliwością prawdziwie ojcowską każdy się pytał o najmniejsze szczegóły mnie dotyczące, każdy się cieszył moją pociechą, troskał się troską, a zacny Felicjan Wannowski odszukał swoją *złotą xiążeczkę* i pokazał mi w niéj wszystkie te *dni radosne*, które ja mu przyniosłem i raz jeszcze powtórzył ustnie te wszystkie dzięki i błogosławieństwa, które tam dla mnie czerwonym atramentem zapisał.

Wieczorem wszyscyśmy się zebrali u jednego z młodych nauczycieli, wszyscy professorowie dawni, wszyscy koledzy,— professorowie dzisiejsi, a był też z nami i poczciwy Stefan Nowicki, dobry mój towarzysz, którego o parę mil ze wsi, przywabiłem do Słucka, i mój niegdyś uczeń, doktór Fr. i mój kolega, choć nie z jednéj klassy, lecz z jednéj szkoły Alexander Żelezniak, którego imie musiałeś nie raz spotykać w Gazecie Codziennéj. Wieczór ten który przy muzyce, piosence, gawędce, czytaniu i deklamowaniu poetycznych utworów, przeciągnął się prawie do rana, będzie mi pamiętnym na całe życie, tak mi w nim błogo było.

Mówiliśmy z sobą obszernie o dzisiejszéj organizacji szkoły, o postępie, o prowadzeniu się jéj uczniów, bo wszystko to niezmiernie mnie zajmowało. Rad byłem wiedzieć czy podawnemu nauki i obyczaje tu kwitną, czy nic nie upadło co od lat wielu tak piękną sławę i professorom i uczniom Słuckim zjednało?

Po ścisłem zbadaniu, a późniéj i przypatrzeniu się, przekonałem się z wielką radością, że pod każdym względem nie tylko dzisiaj nie gorzéj, lecz nawet, niemal rzec można lepiéj, a przyczyną tego błogiego stanu jest szczęśliwy skład władzy szkolnéj. Dyrektorem gimnazjum jest człek bardzo zacny, umiejący oceniać pracę i pojmować dobre zamiary nauczycieli, prefektem szanowny, dobry, kochany nasz Reczyński, większość zaś professorów oprócz Hessego, Kurnatowskiego i Płochockiego, pozostałych z dawniejszych, i Cerawskiego który przybył do Słucka w ostatnim roku naszych nauk,—składa się z naszych kollegów, których kochaliśmy wszyscy nie tylko za nieposPolite zdolności i pilność w naukach, lecz i za obyczaje przykładne, i za serce poczciwe. Gdy więc ze starszymi professorami łączy ich uczucie szacunku i wdzięczności, a z sobą koleżeństwo podwójne, gdy szkoły którym przewodniczą, drogie im wspomnieniem lat dziecinnych w nich przepędzonych, nie dziwy za tem, że z zamiłowaniem, z poświęceniem prawdziwem odpowiadają swoim obowiązkom, że we wszystkiem i zawsze zgodnie poczynając i wspierając się wzajemnie, we wszystkiem najlepszy osiągają skutek. Wspólnych kwater dla uczniów, oprócz dawnego konwiktu, nie ma tu i nigdy nie było, podawnemu stołują się u miejskich gospodarzy, przez co i najubozszy za kilkanaście rubli rocznie może znaleść stół i kwaterę i korzystać z dobrodziejstwa nauki, każda stancja ma guwernera swojego który najpilniéj prowadzi dziennik wszystkich czynności uczniów jemu podległych i każda zostaje pod nadzorem jednego z professorów, który co tygodnia, albo i częściéj dziennik ten kontroluje. Nadto zaś professorowie oprócz sessji z sobą odbywanych, miewają posiedzenia i z guwernerami.

Projektowałem jadąc do Słucka, dzień jeden tam zabawić, ale niepostrzeżenie jakoś aż trzy minęło, nim się w dalszą drogę puściłem, tak mi uroczo było śród tych ludzi kochanych. Nareszcie dwaj nasi dawni towarzysze odwieźli mię do Stefana Nowickiego, który rzuciwszy swój zawód nauczyciela rysunków, co go był gdzieś aż do Pskowskiéj gubernji zaprowadził, powrócił w strony rodzinne i siadł na wsi siać hreczkę, i bić cietrzewie.

Pamiętasz jak jeszcze w szkołach odznaczał się swoim malarskim talentem, jak bez przewodnictwa żadnego, sam sobie drogę w olejnem malowaniu torował, jak równie jak Hesse z pamięci umiał robić najtrafniejsze portrety. Późniéj niepospolicie się ukształcił pod przewodnictwem znakomitego Damela, i gdyby tylko nie brak wytrwałości gdyby jaki bodziec, coby go naglił do pracy i nie dawał stygnąć natchnieniu, mielibyśmy w nim doskonałego artystę. Artystą jest i dzisiaj, o czem dostatecznie świadczą te malowidła, które zdobią jego mieszkanie, ale na nieszczęście talent ten dla ogółu stracony bo ani myśléć nie chce o pędzlach. Między innemi jego robotami zajęły mię szczególnie prześliczne krajobrazy i kopja portretu Damela, z oryginału przez niegoż samego zrobionego kopja tak doskonała, że najwytrawniejsi znawcy za pierwotwór ją brali. Gniewałem się, gderałem na poczciwego Stefana, wypaliłem mu całe kazanie o obowiązkach względem społeczeństwa, bio rąc za temat talent zagrzebany, ale to wszystko było jak groch na ścianę. I czyż to on jeden z naszych kolegów takich? Przypomnij sobie Izydora Barczewskiego, Konstantego Marburga, Mieczysława Stanilewicza, których próbki poezji w szkołach jeszcze pisane, dzisiaj odczytując, nie tylko widze w nich cechę wyższego talentu, lecz nawet nic im pod względem sztuki zarzucić nie mogę. Wiesz że wszyscy trzéj najchlubniéj skończyli kursa uniwersyteckie, a przecież wszyscy trzéj, talenta swoje zagrzebali. A i pan Alexander Żeleźniak, młodzieniec z takim bystrym, pięknie ukształconym umysłem, z takim żywym choć może nazbyt ostrym dowcipem, z takim piórem już wyrobionem i łatwem, czego wszystkiego publiczne dał już dowody, ledwie raz w rok się odezwie w jakiéj gazecie, ani myśląc o tem, że te zdolności którémi Bóg go obdarzył, nie jego, ale ogółu są własnością, i że winowajcą jest w obec Boga i ludzi, gdy się zapiera swego powołania.

Po dniu gościny Nowicki poprowadził mię daléj ku Bobrujskowi, znowu do kolegi naszego. Kilka mil jechaliśmy drogą zwirową, wyciągniętą jak struna przez moczary, piaski i bory, monotonną, smutną, dziką nieledwie, bo dotąd jeszcze tyle tylko tutaj jest życia, ile go się znajdzie na stacji pocztowéj, na dyliżansie lub na *perekładnéj*, a po obu stronach czysta pustynia, nie tylko gdzie wioska się napotka, lecz nawet rola uprawna, uciekła gdzieś z tąd daleko. Nużąca też to jazda, w uszach zgrzyt nieustanny od zwiru pod kołami, w oczach migotanie ciągłe szarych słupków przydrożnych, a zresztą nic coby dało jakąkolwiek rozrywkę, albo zajęcie dla umysłu. Zradościł też ujrzałem *Zawołszyce*, majętność Stefana B., które wdzięcznie przerwały tę jednostajność nieznośną.

Zabawiwszy dni parę w miłéj gościnie u poczciwego kolegi, znowu rzemiennym dyszlem, z nim razem udałem się do Rudobiełki, majątku marszałka Łappy pamiętnéj mi dobrze, jako pierwsza klasa w szkole życia towarzyskiego, gdzie w znanych gospodarzach tak względnych, miałem nauczycieli, nauczyciel ich dzieci. W uczniach moich znalazłem już młodzieńców dorosłych, chlubnie poczynających zawód obywatelski, i parę dni bardzo przyjemnych z nimi spędziłem. Tu pożegnałem ostatnich moich w Litwie znajomych, ztąd wyniosłem ostatnie moje wspomnienie stron rodzinnych, wspomnienie bardzo miłe, bo rozlegle włości pana Łappy, są prawdziwą chlubą i ozdobą Bobrujskiego powiatu, a nawet w całéj Mińskiej gubernji nie wiele się znajdzie majątków tak dobrze uorganizowanych, zwłaszcza przy tak nieprzyjaznych warunkach. Tam niech się uda, kto chce mieć dowód, co może silna wola i dobre chęci. (*d. n.*)

DONIESIENIA.

PRZYJECHALI DO WARSZAWY.

Bulewski Mieczy. oby. z Niedzborza nr 626, *Buczyński* Jan dymis. porucz. z gub. Podolskiéj nr 625, X. *Grodzicki* Winc. pleban z Pilicy nr 584, *Michałowski* Ign. major wojsk belgijskich z Proszewa nr 1257, *Stokowski* Kwiryn ob. z Pilicy nr 584, *Deboli* Stan. oby. z Galicji nr 634, *Lachnicki* Roman marszałek szlachty powiatu Grodzieńskiego z Drezna nr 414.

WYJECHALI Z WARSZAWY.

Burzyński Fran. ob. do gub. Grodzieńskiéj, *Łempicki* Hen. ob. do Zagajewa, *Rusiecki* radca kolegialny do Kowna, *Gruszecki* Ign. oby. do Wrocławia, *Kurnatowski* Stanis. ob do Poznania, *Platerowie* Adam i Stan. hr. do Poznania, *Kurnatowska* Anna wdowa po dymisjonowanym jenerale - lejtnancie do Poznania.

— W dniu wczorajszym przyjechało do Warszawy koleja żelazną osób 426, wyjechało 324.

KURS GIEŁDY WARSZAWSKIEJ

dnia 14 Października 1858 roku.

			żądano Rs.	żądano kop.	płacono Rs.	płacono kop.
Monety.						
Pół-imperjały rossyjskie			—	—	5	46
Dukaty hollenderskie nowe ważne			—	—	—	—
Papiery.						
Obli. skar. (4%) za 100 rs. (oprócz kup.)			92	34	—	—
Bilety skarbu Królestwa Polskie. (4 8/25 %)			—	—	—	—
Listy zastawne białe II okresu (oprócz kuponu) (4%) za 100 złp.			—	—	—	—
Listy zastawne białe III okresu (oprócz kuponu) (4%) za 15 rs.			14	69	—	—
Obligacje cząstkowe za 500 zł. (oprócz kuponu) (4%)			—	—	—	—
Cert. banku na obl. cz. lit. A na 300 zł.			—	—	—	—
" " lit. B. na 200 zł. bez proc.			—	—	—	—
" " procentowe (5%)			—	—	—	—
Dowody Kom. Centr. Likwid. za 100 zł.			—	—	—	—
Nowa rossyjska pożyczka z roku 1854 oprócz kuponu (5%)			—	—	—	—
" " z roku 1855			—	—	—	—
Akcje Głównego Towarzystwa Rossyjskiego dróg żelaznych, praemium			—	—	—	—
Obligi Współki Żeglugi Parowej w Królestwie Polskiem (5%) za rs. 750			—	—	—	—
Wexle.						
Berlin	100 Tal.	2 M.	99	90	99	75
"	100 Tal.	k. t.	—	—	—	—
Gdańsk	100 Tal.	2 M.	—	—	—	—
"	100 Tal.	k. t.	—	—	—	—
Hamburg	300 BMk.	2 M.	150	90	—	—
Londyn	1 Ft. St.	3 M.	6	73	—	—
Moskwa	100 Rs.	k. t.	99	33	—	—
Petersburg	100 Rs.	1 M.	99	50	—	—
"	100 Rs.	k. t.	—	—	—	—
Paryż	300 Fran.	2 M.	80	40	—	—
"	300 Fran.	1 M.	—	—	—	—
Wiedeń	150 Zł. R.	2 M.	100	35	—	—
Wrocław	100 Tal.	2 M.	—	—	—	—

Wartość kuponu bieżącego od obl. skar. Rs. — kop. 15 5/9
od listów zastawnych kop. 18 2/3
od nowéj rossyjskiéj pożyczki Rs. — kop —

W Drukarni J. Ungra.— Wolno drukowac. — Warszawa dnia 3 (15) Października 1858.— Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański*.